



Nowa oferta reklamy!

tel. 32/608 80 42
www.reklama.gosc.pl

GOŚC
NIEDZIELNY

tekst

AGATA COMBIK

redaktor wydania

Zasłuchani

Każdy człowiek ma swoją opowieść. Jedni służą Bogu wśród kotłów z zupą, za kierownicą albo na szczytach gór, inni badają ludzi – w tym nawet... bł. Salomeę (s. 6-7). Niektórzy swoją przygodę przeżywają wśród dźwięków muzyki z dawnych wieków, inni – z radarem w dłoni (s. 8). Oddając do rąk Czytelników nieco odmienionego „Gościa”, zapraszamy do zasłuchania się w ludzi i ich historie, w świat – pełen niespodzianego piękna, ale także spraw bardzo trudnych. Warto zapatrzeć się w skrawki Wielkiej Opowieści, splecionej z niezliczonych ludzkich historii i spraw. Może po to są gazety? Miłego słuchania! Zapraszamy!

krótko

Zapraszamy

WIECZORY TUMSKIE odbędą się 29 stycznia w auli PWT. Oprócz dysputy przedstawicieli Kościołów rzymskokatolickiego, prawosławnego i ewangelicko-augsburskiego będzie można wysłuchać koncertu Wrocław Gospels Choir pod dyrekcją Rafała Rudawskiego.

ŚLĄSKI ZWIĄZEK ESPERANCKI zaprasza na koncert kolęd w języku esperanto 3 lutego o 12.00 w SP nr 9 przy ul. Nyskiej 66.

Objawienie nad Odrą

ŚWIĘTO JORDANU WE WROCLAWIU.

Nad brzegiem największej z rzek stolicy Dolnego Śląska, w duchu ekumenicznej jedności chrześcijan, dokonał się greckokatolicki **obrzęd poświęcenia wody.**

Obchody tej uroczystości u łacinników i greckokatolików wywodzą się z jednej tradycji. My zwracamy uwagę na chrzest Pana Jezusa w Jordanie, a Kościół rzymskokatolicki przypomina, że nasz Zbawiciel objawił się również poprzez przekazany Mędrcom ze Wschodu – tłumaczy bp Włodzimierz Juszcak, ordynariusz diecezji wrocławsko-gdańskiej Kościoła greckokatolickiego. Objawienie Pańskie to jedno z najważniejszych świąt chrześcijan. U grekokatolików ma ono podobny przebieg jak Boże Narodzenie. Spożywają postną wieszczę wigilijną, a potem odprawiana jest liturgia św. Bazylego Wielkiego, po której następuje pierwszy obrzęd jordańskiego poświęcenia wody. Uroczystości są kontynuowane następnego dnia. Po liturgii w cerkwi duchowni i wierni udają się nad rzekę, by uczestniczyć



Wodę błogosławi się czterema gestami: poprzez zanurzenie trzech trójramiennych świeczników, dotknięcie jej dłonią, skierowanie na nią tchnienia oraz zanurzenie krzyża

w tzw. drugim obrzędzie poświęcenia wody.

Wrocławskie świętowanie tradycyjnie ma wymiar ekumeniczny. – Od początku w naszym nabożeństwie oprócz abp. Mariana Gołębiewskiego, metropolity wrocławskiego, bierze udział bp Ryszard Bogusz, ordynariusz diecezji wrocławskiej Kościoła ewangelicko-augsburskiego. Z Kościołem katolickim jesteśmy w pełnej

jedności, więc trudno tu mówić o ekumenizmie, ale udział protestantów w święcie Jordanu to wyjątek w skali ogólnopolskiej – tłumaczy greckokatolicki biskup.

Podczas tegorocznego nabożeństwa, 19 stycznia, nad brzegami symbolizującej Jordan Odrę bp W. Juszcak przypomniał zebranych, że w czasie chrztu Jezusa objawiła się cała Trójca Święta: Bóg Ojciec, który przemawiał,

Duch Święty, który zstępował pod postacią gołębic, oraz Ten, który był w wodzie, Chrystus przyjmujący chrzest. – Tym, co pomogło objawić Boga światu, była woda jordańska – mówił i życzył zebranych, aby poświęcona woda wszystkich przemieniła i uświęcała. – Niech będzie źródłem błogosławieństwa dla nas, niezależnie od tego, z jakiej wspólnoty jesteśmy – powiedział. **Karol Białkowski**

Męczennicy przekraczają granice religii



WROCLAW, 16.01. Targi Kultury Żydowskiej towarzyszące obchodom Dnia Judaizmu są dobrą okazją, by poznać zwyczaje starszych braci w wierze

Dyskusja panelowa na temat rozumienia męczeństwa w chrześcijaństwie oraz religii żydowskiej rozpoczęła, obchodzony we Wrocławiu po raz dziewiąty, Dzień Judaizmu. – Życie jest święte i podstawowa zasada mówi: „Przekrocz prawo, ale nie bądź zabity” – wyjaśniał J. Kichler z gminy żydowskiej, wskazując na trzy sytuacje, w których żyd powinien być gotowy oddać życie: kiedy musiałby popełnić bałwochwalstwo, morderstwo lub cudzołóstwo. Uczestnicy panelu byli zgodni, że ci, którzy oddają życie za wiarę, łączą poszczególne wyznania i religie. – W przypadku męczeństwa za wiarę znikają granice konfesyjne, a nawet religijne – wyznał prawosławny abp Jeremiasz.

Zmarła siostra Sylwina Licau

Z domu do domu

„W kościele nigdy mi się nie nużyło” – napisała w swoim dzienniku tuż przed wstąpieniem do zakonu. Nie przypuszczała wówczas, że na ponad 40 lat wrocławska katedra stanie się jej drugim mieszkaniem.

Ponad 60 kapłanów pod przewodnictwem bp. Andrzeja Siemienińskiego sprawowało Mszę św. w intencji s. Sylwiny. Spośród 52 lat przeżytych w zgromadzeniu Sióstr Szkolnych de Notre Dame 40 lat posługiwała jako zakrystianka w archikatedrze wrocławskiej. – Kochała



tę świątynię – mówi ks. Janusz Górczyca, wspominając, że kiedy w czasie remontu katedry wszedł do zakrystii, zobaczył siostrę zapłakaną. – Spytałem: „Co się stało”, a ona: „Proszę księdza, bo ja nie mogę patrzeć, jak oni kują w tych starych ceglach”. Niespełna dwa lata temu została przeniesiona do Otwocka. Zmarła w miejscowym kościele parafialnym, kiedy z całą wspólnotą uczestniczyła we wspólnym koledowaniu. Z domu, którym dla niej była świątynia, Bóg wezwał ją do mieszkania w niebie. **xrk**

Nowa, funkcjonalna wizytówka miasta

Szlakany odlot



WROCŁAW. Realizacja kolejnej inwestycji przed UEFA Euro 2012 dobiega końca. Już za miesiąc zostanie oddany do użytku nowy terminal wrocławskiego portu lotniczego (na zdjęciu). – Pozostajemy regionalnym portem, ale możemy się pochwalić jakością i komfortem obsługi znanymi z lotnisk w najlepszych europejskich metropoliach. Pasażerowie otrzymują nowoczesny, bogato wyposażony obiekt, a wraz z nim jeszcze więcej połączeń i możliwości

podróżowania – mówi Dariusz Kuś, prezes Portu Lotniczego Wrocław. Budynek nowego terminala jest aż 4 razy większy od dotychczasowego, dzięki czemu wrocławskie lotnisko będzie mogło odprawić ok. 3 mln pasażerów rocznie, dwa razy więcej niż do tej pory. Oprócz wygodnej obsługi obiekt będzie miał bogatą ofertę handlowo-usługową. Terminal jest wyposażony w wiele technologicznych nowinek, które sprawiają, że odprawa pasażerska

zajmie mniej czasu. Niewątpliwą atrakcją jest też ogólnodostępny taras widokowy, z którego będzie można obserwować startujące i lądujące samoloty. Oficjalne otwarcie lotniska nastąpi 29 lutego, ale mieszkańcy Wrocławia i Dolnego Śląska będą mogli zobaczyć efekty kilku lat prac podczas dni otwartych 25 i 26 lutego. Pierwszy samolot wystartuje prawdopodobnie 3 marca, po całkowitym uruchomieniu obiektu.

Karol Białkowski

Na początek Alfa



WROCŁAW. – Kurs Alfa pozwala we wspaniałej atmosferze pogłębić

wiarę – mówi o. Piotr Micał, franciszkanin. Już 3 lutego przy klasztorze

ojców franciszkanów rozpocznie się kolejna edycja tych spotkań, przeznaczonych dla młodzieży gimnazjalnej i licealnej. Przystępna forma sprawia, że wielu decyduje się wziąć w nich udział. – Kurs jest tak skonstruowany, by każdy młody człowiek mógł się tu odnaleźć. Mogą przyjść wszyscy, zarówno wierzący, jak i niewierzący – zaznacza o. P. Micał. Charakterystyczną cechą spotkań jest ich niezwykła żywiołowość i formacja poprzez zabawę (na zdjęciu). Młodzież je też wspólny posiłek oraz słucha wykładu dotyczącego podstaw wiary. Kulminacyjnym punktem jest wyjazd weekendowy. Pierwsze spotkanie odbędzie się w kawiarence parafialnej przy klasztorze franciszkanów przy ul. Kruczej (wejście od ul. Oficerskiej) o godz. 18. Udział w kursie jest bezpłatny. **kb**

Wierny do końca

WROCŁAW-FILADELFA. W ubiegłym tygodniu pożegnaliśmy ks. Hieronima Pohla – kapłana, który po studiach we wrocławskim seminarium przyjął 24 czerwca 1967 r. święcenia kapłańskie. Przez 11 lat pracował w naszej archidiecezji, posługując m.in. w Wojcieszowie, Bielawie, Miliczu oraz we Wrocławiu. Następnie wyjechał do Stanów Zjednoczonych, gdzie pełnił kapłańską posługę w diecezji Filadelfia. – Zawsze chciał być w polskiej parafii – mówią jego amerykańscy parafianie. – Uczył języka polskiego i historii, a każdego roku w ramach urlopu organizował wyjazd dla miejscowej Polonii do ojczyzny. Znany był z tego, że otaczał opieką materialną rodziny oraz wspólnoty parafialne w Polsce. Każdego roku wysyłał ponad 200 paczek. Fundował m.in. szaty i naczynia liturgiczne oraz obrazy,

które umieszczano w ołtarzach świątyni. Ostatnie dwa lata walczył z ciężką chorobą, a na kilka dni przed śmiercią wyznał swojemu

przyjacielowi: „Jestem szczęśliwy, bo Bóg uchronił mnie i nie złamałem żadnego przyrzeczenia kapłańskiego”. **kra**



Ks. Hieronim Pohl (pierwszy z prawej) z rodziną państwa Myjkowskich z Dąbrowy Oleśnickiej

Punktów zapalnych brak

WROCŁAW. Na 137 dni przed Euro 2012 z roboczą wizytą w naszym mieście przebywała minister sportu i turystyki Joanna Mucha (na zdjęciu z prezydentem Rafałem



Dutkiewiczem). Wrocław był kolejnym przystankiem na trasie prowadzącej przez wszystkie polskie miasta, które będą gospodarzami mistrzostw Europy w piłce nożnej. – Pani minister chciała osobiście zapoznać się z inwestycjami podjętymi w związku z organizacją turnieju – mówi Paweł Czuma z wrocławskiego magistratu. Poza stadionem miejskim, nowym terminalem lotniska i Halą Ludową odwiedziła także Dworzec Główny PKP, którego, w związku z przedłużającymi się pracami i realną groźbą nieukończenia remontu do Euro 2012, nie było w pierwotnym planie wizyty minister Muchy w naszym mieście. – Przewiduję, że z Wrocławiem nie będzie problemów – mówiła pani minister na spotkaniu z dziennikarzami, przekonując, że w jej ocenie stolica Dolnego Śląska jest najlepiej przygotowana ze wszystkich miast organizatorów. – W innych miejscach mamy pewne punkty zapalne, ale we Wrocławiu ich nie dostrzegam – stwierdziła. **kr**

Nowi kanonicy

DIECEZJA. W liturgiczne wspomnienie św. Wincentego z Saragossy, patrona Wrocławskiej Kapituły Katedralnej, metropolita wrocławski dołączył do grona kanoników dwóch wrocławskich kapłanów: ks. Wojciecha Tokarza, proboszcza par. pw. św. Bonifacego, oraz ks. Stanisława Józwiaka, wicekanclerza kurii. Jak wyjaśnia sekretarz kapituły ks. dr Adam Łuźniak, stanowi ona ciało doradcze metropolity. – Arcybiskup zasięga opinii kanoników gremialnych m.in. w sprawach dotyczących materialnego funkcjonowania diecezji, czasem są to kwestie duszpasterskie lub dotyczące praktycznego rozwiązania pewnych spraw z życia diecezji – mówi, podkreślając, że obowiązkiem wszystkich członków kapituły jest sprawowanie

uroczystej liturgii w katedrze oraz modlitwa w intencji archidiecezji. **rk**



Czerwona pelerynka, łańcuch z wizerunkiem św. Jana Chrzciciela oraz pierścienie to strój członków wrocławskiej kapituły

Uczcili powstańców

WROCŁAW. Mszą św. w parafii pw. Opieki św. Józefa rozpoczęły się 22 stycznia obchody 149. rocznicy wybuchu powstania styczniowego. Przedstawiciele Związku Piłsudczyków – organizatora spotkania, Bractwa Kurkowego, uczniów i organizacji patriotycznych przeszli następnie pod Uniwersytet Wrocławski, gdzie złożyli kwiaty pod tablicą poświęconą studentom, którzy wzięli udział w powstaniu. **ac**

Pradziadowie się dziwią

VERBUM CUM MUSICA. – Moi przodkowie luterzańscy przecierają chyba oczy ze zdumienia, patrząc na to, co robię – mówił z uśmiechem pastor Andrzej Fober, wygłaszając prelekcję o luterńskiej recepcji adhortacji Benedykta XVI o słowie Bożym „Verbum Domini”. Pastor, na terenie katolickiej uczelni (w dodatku studiujący na niej), zgłębia dokument papieża – dawniej nie do pomyślenia. Duchowny docenił w adhortacji wiele elementów, m.in. podkreślenie potęgi słowa Bożego, dostrzeżenie korzeni grzechu w zaniedbaniu słuchania go. Czego mu brakuje w papieskim dokumencie? Choćby wyraźniejszego docenienia ambony jako miejsca głoszenia Słowa czy szerszego spojrzenia na słowo Boże obecne

w pieśniach kościelnych. – Dla nas muzyka jest bardzo ważna. W mojej rodzinnej parafii w Cieszynie jest 7 chórów – mówił. Spotkanie, poprzedzone wykładem ks. prof. Włodzimierza Wołyńca na temat jedności, odbyło się w ramach cyklu Verbum cum Musica. W części muzycznej wystąpił chór Canta Nobiscum pod dyr. Marka Pisarskiego. **ag**

GOŚĆ WROCŁAWSKI
wroclaw@gosc.pl

ADRES REDAKCJI: 50-245 Wrocław,
ul. Trzebnicka 11/4
TELEFON/FAKS: (71) 322 30 72, (71) 322 37 09,
(71) 327 11 47
REDAGUJĄ: ks. Rafał Kowalski
– dyrektor oddziału, Karol Białkowski,
Agata Combi

**DYSKUSYJNY
PROGRAM „WROCŁAW
PRZECIW RASIZMOWI
I WYKLUCZENIOM”.**

W latach 80. XX wieku powstał w USA manifest wyznaczający zasady promocji homoseksualizmu w społeczeństwie.

Kilka lat temu w Polsce ostrzegała przed nim Joanna Najfeld.

Czy dziś jest wdrażany w życie we Wrocławiu?

Tylnymi drzwiami, proszę...

Od marca każda szkoła ponadgimnazjalna w naszym mieście będzie mogła przystąpić do programu przygotowanego przez nauczycieli XIV LO „Wrocław przeciw rasizmowi i wykluczeniom”. Jak przekonują organizatorzy, pomysł zrodził się po eksperymencie przeprowadzonym w czerwcu 2011 r. Wówczas uczniowie Czternastki ucharakteryzowani i przebrani za osoby należące do mniejszości żydowskiej, a uczennice – muzułmańskiej wyruszyli na ulice miasta, by obserwować reakcje społeczeństwa wobec tych dwóch grup religijnych. – Doświadczyli agresji słownej – mówią pomysłodawcy projektu.

Przecieramy szlaki?

Uczeń przebrany za Żyda usłyszał m.in. „Do Auschwitz”. Uczennice natomiast pytano, gdzie schowały materiały wybuchowe. Krzyżano za nimi, że są żonami bin Laden. To uświadomiło organizatorom konieczność przygotowania programu, który będzie kształtował i promował tolerancję, otwarcie na drugiego

człowieka i otaczający świat, zwalczanie rasizmu oraz rozumienie wartości, bogactwa i różnorodności kultur. Program powstał, a patronuje mu Wydział Edukacji Urzędu Miasta. Do pomocy w jego realizacji zaproszone zostały m.in. Muzułmańskie Centrum Kulturalno-Oświatowe, Fundacja Bente Kahan, Stowarzyszenie Nomada, Szkoła Wyższa Psychologii Społecznej, a także... Kampania przeciw Homofobii. W rzeczywistości przedstawiciele tych organizacji będą program realizować, prowadząc warsztaty, spotkania i prelekcje dla uczniów i nauczycieli. W praktyce oznacza to kilkanaście lub kilkadziesiąt godzin zajęć. Nie ma się co dziwić, że na portalach internetowych tworzonych przez środowiska homoseksualne projekt został przyjęty z ogromnym entuzjazmem, a Wrocław okrzyknięto miastem, które przeciera szlaki.

Ciekawe jest to, że Dolnośląskie Kuratorium Oświaty, które sprawuje nadzór pedagogiczny nad szkołami, ustami swojej rzeczniczki od projektu się odcina i zrzuca odpowiedzialność na Wydział Edukacji Urzędu Miasta. „Dyrektorzy szkół nie mają obowiązku informowania nas o treściach, które będą prezentowane podczas spotkań, tym samym kurator nie posiada kompetencji do ich zatwierdzania. Jeżeli szkoła zdecyduje

o przystąpieniu do projektu, wówczas nauczyciele zobowiązani są do jego realizacji” – czytamy w oświadczeniu Janiny Jakubowskiej. O czym zatem będą nauczać przedstawiciele środowisk homoseksualnych naszą młodzież?

Rzecznik Urzędu Miejskiego Paweł Czuma odpowiada krótko, że celem programu jest propagowanie szeroko pojętej tolerancji wobec osób o odmiennym wyznaniu, kolorze skóry, ubiorze, wyglądzie, o innej narodowości czy orientacji seksualnej. – W trakcie zajęć będzie poruszana także ta ostatnia kwestia, bo nie można udawać, że nie istnieje. W żadnym jednak punkcie nie będzie to propagowanie homoseksualnych zachowań – mówi P. Czuma. Natomiast Monika Szałowska-Murmyło, która wraz z Mirosławem Tryczykiem koordynuje całość przedsięwzięcia, tłumaczy, że każda organizacja przygotowała szczegółowe konspekty zajęć według wytycznych przygotowanych przez pomysłodawców. Te zaś podlegają ocenie w Biurze Projektów Wydziału Edukacji Urzędu Miasta Wrocławia. Jej zdaniem osoby homoseksualne są jedną z grup dyskryminowanych w polskim społeczeństwie, chociaż przyznaje, że dyskryminacja ta przybiera inne formy niż wobec wyznawców islamu, judaizmu czy przedstawicieli mniejszości romskiej. – Nasilenie

i przejawy dyskryminacji, jakiej doświadczają osoby homoseksualne, zależą przede wszystkim od stopnia świadomości dyskryminujących i zakotwiczenia stereotypów dotyczących homoseksualistów w społeczeństwie. Jednym z efektów tej formy dyskryminacji jest wysoki odsetek absencji szkolnej, depresji, a nawet prób samobójczych wśród młodzieży homoseksualnej – zaznacza.

Nie jest za późno

Dziwnie się składa, że dwie pierwsze zasady wspomnianego manifestu lobby homoseksualnego w USA sugerują konieczność mówienia o zjawisku jak najczęściej oraz prezentowania homoseksualistów jako ofiar, a nie agresywnych rewolucjonistów. Jego autorzy tłumaczą, że prawie każde zachowanie zaczyna wyglądać normalnie, jeśli stykamy się z nim często, np. spotykamy je w kręgu znajomych, a nasza akceptacja zależeć będzie od tego, ile osób to zachowanie zaakceptuje. Zwracają także uwagę, że zabiegając o przychylność opinii publicznej, trzeba obsadzać homoseksualistów w roli ofiar, które potrzebują ochrony. Zbieg okoliczności czy zwyczajne wprowadzanie organizacji homoseksualnych do placówek oświatowych tylnymi drzwiami?

Organizatorzy wrocławskiego programu przekonują, że udział

zarówno uczniów, jak i nauczycieli w programie jest dobrowolny, a w przypadku uczniów niepełnoletnich wymagana będzie pisemna zgoda rodziców lub prawnych opiekunów. Może warto zorientować się, czy szkoła, do której uczęszczają nasze dzieci, będzie projekt realizować, i podjąć odpowiednie działania, kiedy nie jest jeszcze za późno. **kra**

Brakuje mojej babci



**Ks. RAFAŁ KOWALSKI,
DYREKTOR
WROCŁAWSKIEGO GN**
– Kilka dni temu
słyszałem ciekawą
definicję tolerancji.

Mówi ona, że tolerancyjny jest ktoś, kto toleruje i akceptuje absolutnie wszystko z wyjątkiem Kościoła katolickiego. Nie wiem, jaki klucz przyjęli organizatorzy projektu „Wrocław przeciw rasizmowi i wykluczeniom”, ale przeglądając fora internetowe, doszedłem do wniosku, że wśród przedstawicieli grup wykluczonych i nietolerowanych brakuje mojej babci i jej koleżanek otwarcie przyznających się do słuchania jednej z rozgłośni radiowych. „Mohery, ciemnogród, wapno wspierające czarnych” to tylko kilka z setek określeń, które bez problemu można sklasyfikować jako agresję słowną. Czy organizatorzy pragną walczyć ze stereotypami przypadkiem sami nie ulegli stereotypowi: „homoseksualista = prześladowany”? Ostatnio głośno było w dolnośląskich mediach o krzywdzie, jaką uczennicy jednej z wrocławskich podstawówek wyrządziła szkoła, tylko dlatego, że na lekcji języka polskiego musiała oglądać film o narodzeniu Chrystusa. Przy tej okazji media rozpisywały się też o katechezie chętnie sugerując, że przez sam fakt nieuczęszczania na nią dziecko jest odrzucone i wykluczone. Ciekawe, że nikt nie mówi o krzywdzie, jaką młodemu człowiekowi może wyrządzić stworzenie, pod płaszczykiem najnowszego programu, alternatyw, których ani on sam, ani jego rodzice nie chcą. Może po prostu wystarczy zwyczajnie wrócić do takich pojęć, jak „godność człowieka”, „szacunek dla osoby ludzkiej” czy „miłość bliźniego”... Tylko że o tym nauczał już ponad 2 tys. lat temu Jezus z Nazaretu.

Czy nowy program Wydziału Edukacji Urzędu Miejskiego naprawdę będzie uczył tolerancji?



SERENISSIMA WRATISLAVIA.

Początków grupy trzeba szukać w murach starego zamku w Bolkowie, gdzie przed laty oprócz szczeru rycerskich mieczy zaczęły rozbrzmiewać dźwięki muzyki, a obok lśniących zbroi zawirowały kolorowe suknie. Dziś **dolnośląski zespół tańca dawnego znany jest w całej Europie, a nawet w Japonii i Meksyku.**

tekst

AGATA COMBIK

agata.combik@gosc.pl

Agnieszka Kałużowska, założycielka zespołu, kilkanaście lat temu pojechała ze znajomymi zwiedzić średniowieczny zamek w Bolkowie. Gdy zajrzała do portierni przy wejściu, wychylna z niej czyjaś poobijana twarz. – Szczerze mówiąc, myślałam, że to jakiś „pijus”, tymczasem był to sam kasztelan zamku, znany archeolog, który właśnie wrócił z rycerskich potyczek – wspomina. Kasztelan wyjaśnił zaintrygowanym turystom, że w Bolkowie działa bractwo rycerskie, które zajmuje się odtworzeniem życia w dawnych czasach i organizuje turnieje. Agnieszka tak bardzo spodobała się ta działalności, że wkrótce, jako jedna z nielicznych białogłówek, dołączyła do bractwa. A tańce? Już jako trzylatka wirowała wokół stołu; tym razem jednak zajęła się płasmi sprzed wieków w odpowiedzi na nudę towarzyszącą długotrwałemu oglądaniu walk kolegów-rycerzy. Bo ileż można patrzeć, jak panowie machają mieczami... – prawda?

Tańce ze starych bibliotek

Na początku z przyjaciółkami sama wymyślała sobie różne tańce, „w duchu epoki”. Co ciekawe, niektóre z nich funkcjonują do dziś, żyją własnym życiem i są wykonywane także przez inne grupy. Z czasem odkryła, że istnieją prowadzone przez profesjonalistów kursy tańca dawnego, że można odtworzyć autentyczne kroki tancerzy sprzed lat. W 1996 r. formalnie powołany został zespół Serenissima Wratislavia.

Wojciech Badziak, dziś kierownik artystyczny zespołu, niegdyś zajmował się tańcem towarzyskim. Członków tworzącej się przy bractwie rycerskim grupy poznał podczas spędzanego u znajomych sylwestra. Raz, drugi trafił na próbę. „Ale o co chodzi?” – zaczął dociekać, śledząc nieco jeszcze chaotyczne poczynania



Dawnych bali cza

tancerzy. A że ma naturę skłoną do rozgryzania zagadek, w końcu „wpadł po uszy” w tańczoną łamigłówkę. Przełomowym momentem w tych dociekaniach był wspólny wyjazd z Agnieszką do Florencji na warsztaty prowadzone przez Brunę Gondoni, kierującą Il Ballarino, pierwszym we Włoszech zespołem tańca dawnego. Bruna została przyjaciółką i mistrzynią tańczących wrocławian, którzy od tamtej pory uczestniczą raz po raz w warsztatach swojej włoskiej nauczycielki, a co rok goszczą ją w stolicy Dolnego Śląska. Drugim mistrzem zespołu, także regularnie przyjeżdżającym do Polski, stał się Belg Lieven Baert, związany z baletem zawodowy tancerz mieszkający w Gandawie. – Byliśmy tam w zeszłym roku na karnawałowym balu – wspomina Agnieszka. – Odbywał się w zabytkowej, XIX-wiecznej operze, wśród kryształowych żyrandoli, kandelabrow, marmurów. To było niesamowite przeżycie. Można było się poczuć jak na królewskim dworze.

Skąd właściwie wiadomo, jak należy wykonywać tańce z odległych wieków? – W połowie XV w. zaczęły powstawać traktaty tworzone przez mistrzów tańca, zawierające zapisy nutowe, zapisy kroków, układów choreograficznych – mówi Wojtek. – To dla nas cenne materiały źródłowe. Czasem da się jednoznacznie zrekonstruować kroki, a czasem toczą się wśród znawców tematu zacięte dyskusje – czy stopa ma być uniesiona 5 czy 10 cm nad ziemią, czy krok był bardziej „od pięty” czy „na płasko” itp. Bywa też, że zachował się jedynie zapis nutowy i do niego tworzy się współcześnie choreografię. W renesansie, szczególnie interesującej nas epoce, nie powstawały jeszcze w Polsce podobne traktaty, ale w zapiskach francuskich czy włoskich istnieją wzmianki o tańcach na dworze polskim. Bruna Gondoni znalazła nawet informację o tym, że Polacy dobrze płacili XVI-wiecznym zagranicznym nauczycielom tańca.

Zespół koncentruje się na XV i XVI wieku, ale dobrze radzi sobie także z XIX-wiecznymi tańcami;

zaczyna również wdrażać się w XVII-wieczne, barokowe – trudniejsze ze względu na elementy baletu. Ostatnio Serenissima została zaangażowana przy tworzeniu filmu o Zamku na Skale w Trzebiezowicach. Prezentowała w jego wnętrzach tańce charakterystyczne dla różnych epok w długiej historii gmachu.

Pawie, wesela, planety

Do najbardziej znanych dawnych tańców należy pawana, od której swą nazwę zaczerpnął doroczny festiwal organizowany przez Serenissimę, a która też zapewne była niegdyś tańczona we Wrocławiu. – Jedni wywodzą nazwę tego tańca od włoskiej miejscowości Pavia, inni od puszającego się pawia – tłumaczy Wojciech. – Bo XVI-wieczna pawana to dostojny, uroczysty taniec, w czasie którego prezentowali się dworzanie. Każdy chciał wypaść jak najlepiej, pokazać swój bogaty strój i doskonale maniery. Dziś wiele mówi się o autoprezentacji, o tym, jak zrobić dobre pierwsze wrażenie – a to wszystko nie jest niczym nowym. Już wtedy dbano, by dobrze wypaść, utrzymać swoją pozycję.

Tańce przechodziły czasem płynnie od jednego do drugiego. Po wolnych pawanach następowały dynamiczne gajardy, w których nie brak wyskoków i machania nogami (warto dodać, że gajardowych wariacji jest ok. 180!). Wcześniej, w XV w., stateczna bassadanza przechodziła w szybką piewę. – Podczas tańca o nazwie chiaranzana osobno grupowały się rodziny panny młodej i pana młodego, tworząc szpalery. Poruszały się one tak, by każdy z każdym mógł się poznać, przywitać – wyjaśnia Agnieszka. – Interesujące były występy, podczas których opowiadano tańcem całe historie. Wawrzyniec Wspaniały z Florencji napisał na przykład taniec pt. „Okrutne pożegnanie”, poświęcony zmarłej muzie artystów, Simonette Vespucci. Istniały taneczne opowieści o miłości, rywalizacji, ale i o... astronomii, ukazujące ruch planet.

ZDJEŃCA ARCHIWUM ZESPOŁU



Agnieszka Kałużowska i Wojciech Badziak

Tańce budzą emocje. Za skandalizującą uznano XVI-wieczną voltę, podczas której dama była podnoszona przez kawalera. Zaskakiwać mogą tańce imitujące bitwę, jak ten o nazwie batalia. Można w nich ujrzyć

atak, kontratak (gwałtowne klaśnięcie przed nosem partnera), podjazdy, rokowania, aż wreszcie niby-bijatykę wielu tancerzy – przy czym dla każdego z nich są dokładnie rozpisanymi krokami. Zdarzało się, że na dwory



ar

trafiły tańce popularne wśród osób niższego stanu, ale wtedy dodawano do nich specjalne ruchy, mające odróżnić szlachtę od gminu. XV- i XVI-wieczne tańce opierają się zresztą na innym rodzaju ruchu niż ten, do którego jesteśmy przyzwyczajeni dzisiaj, pozostając pod wpływem jazzu czy tańców latynoamerykańskich. Podczas tych XV-wiecznych mocno „stapano po ziemi”, potem zaczęto się bardziej unosić na palcach. Z uwagą podchodzono też do ukłonów, mających odmienną formę w różnych epokach czy krajach – inne są np. ukłony włoskie, inne francuskie.

– Ludzie nie mieli dawniej telewizji czy internetu, które pozwalają na zawołanie oglądać np. koncerty. Bal był wówczas wielkim wydarzeniem – podkreśla Wojtek. – Wiele choreografii tanecznych utrwalonych w traktatach powstawało z jakiejś szczególnej okazji, np. ślubu, chrztu, czy ważnej wizyty. Tworzono wręcz całe przedstawienia ze specjalnymi rolami dla państwa młodych, a także z popisami innych osób. Szczególnym czasem był karnawał. Przez szereg dni arystokracja spała w dzień, a nocami balowała w kolejnych domach – zwłaszcza tam, gdzie mieszkały panny na wydaniu.

Zabawa jest sztuką

Oczywiście dużą wagę przywiązywano do odpowiednich szat. – Nasze stroje, wzorowane na tych z epoki, są w niewielkim stopniu uproszczone dla wygody tancerzy, ale nie stosujemy np. zamków błyskawicznych i odczuwamy na własnej skórze, ile trudu wymagało ubranie się, zasznurowanie wszystkiego. Musimy sobie nawzajem pomagać, doskonale rozumiemy więc, że każda dama potrzebowała licznej służby, żeby się ubrać – mówi Wojtek. – Najpierw wkładała koszulę, dalej były suknie spodnia z gorsetem i suknie wierzchnia. – Im bogatsza dama, tym więcej miała tych warstw – wyjaśnia Agnieszka. – Suknie były bardzo kosztowne, ciężkie, zdobione drogimi kamieniami, mogły mieć wartość nawet kilku wsi.

Często też przechodziły z pokolenia na pokolenie.

Wojtek za najpiękniejsze uważa stroje niemieckie, z jedwabnego aksamitu. Serenissima dysponuje takimi – wzorowanymi na obrazach Cranacha. Agnieszka podoba jej włoskie, jakie nosi często Madonna na obrazach Raffaella. Głowy uczestników dawnych bali też mieniły się barwami – a to za sprawą feerii piór i innych ozdób. Panny nosiły rozpuszczone włosy, czasem z przepaskami. – Na obrazach widzimy prawie zawsze faliste pukle, bo włosy były na co dzień zbierane w warkocze i tak się układały. Pod koniec XV w. zaczęto wzorować się na antyku i na głowach pań pojawiły się antyczne zawoje, z kolorowych materiałów sprowadzanych z Indii czy Chin – opowiada Agnieszka.

Wrocławscy tancerze tłumaczą, że bale, fety miały dla ówczesnych ludzi większe znaczenie niż dla nas dzisiaj. Choćby dlatego, że była to jedyna okazja, by młodzi mężczyźni i kobiety wysokich rodów znaleźli się bliżej siebie, mogli się dotknąć – najpierw tylko przez muśnięcie ręki. Trzeba dodać do tego sekretny język wachlarzy, kody kwiatów, upuszczane i podnoszone w znaczący sposób ozdobne chusteczki. – To była trochę taka gra, teatr – mówi Agnieszka. Ostatecznie jednak wszystkie te zabiegi i zwyczaje związane z balami koncentrowały się na bardzo konkretnym celu: zaaranżowaniu małżeństwa z najodpowiedniejszą osobą.

Zabawa ujęta była w ścisłe reguły. Zamożne damy nie mogły siedzieć samotnie, należało je zabawiać. Z kolei one musiały wiedzieć, jak się zachować, gdy na przykład dwóch naraz kawalerów prosi jedną z nich do tańca, jak grzecznie odmówić, jak konwersować. Umiejętność tańca należała do etykiety dworskiej; rycerz powinien był nie tylko władać mieczem, ale także umieć zachować się na uczcie. Agnieszka przytacza historię pewnego kawalera z XVI w., który przyjechał ponoć na dwór francuski i popisował się, jak świetnie umie tańczyć. Sprawdzono go. Gdy okazało się, że nie zna tanecznych nowinek, został wyśmiany i musiał zrezygnować z kariery dworskiego urzędnika.

Założycielka zespołu podkreśla wielkie przywiązanie ludzi minionych wieków do zasad savoir-vivre'u, eleganckiego zachowania się. – Arystokracja miała to we krwi. Ludzie nie musieli w czasie balu cały czas myśleć o tym, jak się zachować. Było to dla

nich czymś naturalnym, od dziecka uczyli się zasad etykiety. My dziś jesteśmy pod tym względem o wiele ubożsi, brakuje nam umiejętności zachowania się wyrażającego szacunek dla innych. Kulturywując dawne tańce, dawną kulturę, jako Serenissima „smakujemy” różne jej aspekty. Także etykietę, która jest pewnego rodzaju sztuką. Podobnie jak japoński ceremoniał parzenia herbaty, tak i europejska sztuka dobrej zabawy ma swoje piękno. To jest pewna celebrycja bycia razem w danym miejscu i czasie.

Tancerze podkreślają różnicę, jaka istnieje między dawnymi wykwiłtymi balami a dzisiejszymi dyskotekami, gdzie znika bogactwo subtelnych znaków, spojrzeń i gestów. – Właściwie nastąpił powrót do tańca pierwotnego, plemiennego – mówi Wojciech. Ludzie często nie potrafią już razem tańczyć, ale „podrygują” obok siebie, ogłuszeni muzyką, każdy w swoim świecie.

Gimnastyka z gajardami

Mówi się, że dbająca o kondycję i uwielbiająca bale królowa Elżbieta I Tudor zaczynała dzień od szybkiej gajardy, połączonej z energicznymi wyskokami. – Taniec może być świetną gimnastyką. To wspinały relaks i sposób na rozwój umiejętności ruchowych – twierdzi Agnieszka.

Nie znaczy to, że dawne tańce są jedynie dla krzepkich 20-latków (choć oni też znajdą tu dla siebie godne wyzwania!). Na warsztatach w Anglii Wojtek tańczył kiedyś z 80-letnią uczestniczką zajęć. – Istnieje wiele tańców powolnych, kroczących, do których nie trzeba mieć żelaznej kondycji – tłumaczy – jak choćby pawany. Oczywiście to „kroczenie” nie jest maszerowaniem ot, tak sobie, jak na ulicy. To trzeba też pięknie zatańczyć. – Gdy jestem starsza, nie tyle cieszy mnie pokazywanie się na scenie, co sam taniec, szlifowanie różnych elementów, doskonalenie się – dodaje Agnieszka. – Dla mnie taniec to rodzaj terapii, możliwości przeniesienia się w inny świat.

Serenissima gromadzi się na treningach raz w tygodniu – tancerze, najczęściej w zwykłych dresach, szlifują wówczas poszczególne elementy. Stałą ekipę tworzy ok. 10 osób, pozostali zmieniają się. Cały czas trwa nabór do zespołu. Szczególnie poszukiwani są chętni do tańca panowie – jest ich bowiem trochę mniej. Może nie uśmiecha im się noszenie staroświeckich raj-

Taniec o nazwie batalia
PO LEWEJ:
Na balu w Gandawie
POŚRODKU:
Taniec z pochodniami w Bolkowice

tuz? Wojtek zauważa, że można się w nich czuć mniej więcej podobnie jak w stroju kolarza. Nic strasznego.

– Jesteśmy grupą amatorską w tym sensie, że zawodowo zajmujemy się czym innym, ale tak naprawdę podchodzimy do tego bardzo serio, profesjonalnie – podkreśla. Taka pasja, jeśli traktuje się ją na poważnie, pochłania sporo pieniędzy. Jeden kostium kosztuje od 2 do 3 tys. zł. Grupa tylko czasem wykonuje pokazy płatne, a zazwyczaj korzysta jedynie ze wsparcia Ministerstwa Kultury – np. przy organizacji lipcowego festiwalu. Jak na amatorów, stali się bardzo rozpoznawalni – w Europie i nie tylko. Przyjaciół mają nawet w Meksyku czy Japonii – gdzie ich znajoma Yuko Higuruchi tańczy również polskie tańce.

Na obrazach dawnych mistrzów widać czasem przy szopce betlejemskiej tańczące anioły. Pewnie nie przypadkiem karnawał następuje tuż po Bożym Narodzeniu, gdy już widać zapowiedź otwartych bram raju – i wielkiej uczty weselnej na Godach Baranka. Gdy jest się z czego cieszyć, a nogi same porwyją do tańca, warto pamiętać, że zabawa może być misternym arcydziełem.

Możesz się włączyć

Zespół Tańca Dawnego Serenissima Wratislavia to najstarsza grupa związana z tańcem dawnym na Dolnym Śląsku, jedna z pierwszych w kraju. Co roku w lipcu organizuje Międzynarodowy Festiwal Tańca Dawnego PAWANA, któremu towarzyszą warsztaty, wykłady, konkursy, bal kostiumowy i Jarmark Renesansowy. Uświetnia koncerty, miejskie uroczystości czy wydarzenia, takie jak Jarmark Jadwiżański we wrocławskiej Leśnicy, prowadzi kursy. Zespół jest otwarty na współpracę z osobami w różnym wieku: młodzieżą szkolną i studencką, osobami dorosłymi, a także seniorami oraz z grupami istniejącymi przy parafiach. Więcej informacji na stronie internetowej www.serenissima.com.pl, pytania można kierować na adres kontakt@serenissima.com.pl.

Niebiańskie muzykowanie



KS. MARIUSZ ROSIK
– Król Dawid znany jest nie tylko jako święty władca, ale również jako twórca Psalterza.

Jest to tylko tradycja, nie można jednak zaprzeczyć, że przynajmniej niektóre z psalmów sięgać mogą kręgów dworskich z jego czasów. Natchniony autor opowiada zdarzenie, które psychologowie uznali za biblijne początki muzykoterapii: „Kiedy zły duch zesłany przez Boga napadał na Saula, brał Dawid cytrę i grał. Wtedy Saul doznawał ulgi, czuł się lepiej, a zły duch odstępował od niego” (1Sm 16,23).

Ta biblijna wzmianka pozwala stwierdzić, że starożytni Izraelici doceniali pozytywny wpływ muzyki na ludzką duszę. Poprzez śpiew i muzykę zbliżali się do Boga, wyrażali swe uczucia, integrowali się z narodem i rodziną. Muzyka towarzyszyła Izraelitom w życiu codziennym. W Biblii zachowały się opowiadania o pożegnaniu przy muzyce; towarzyszyła ona powracającym do domu po długiej nieobecności. Słychać ją było na salach biesiadnych, śpiewano chętnie przy pracy. Stary Testament wspomina pieśń kopiących studnię, pieśń stróża czy tych, którzy wytlaczają winogrona. Znane są pieśni wojenne i pieśni zwycięstwa oraz układane na cześć poległych. W świątyni jerozolimskiej śpiew, a może nawet tańce, były domeną lewitów. Termin „lewita” pochodzi przypuszczalnie od czasownika oznaczającego „kręcić się wkoło”. Lewita miałby wskazywać na osobę oddaną ekstatycznemu tańcowi, podobnego do tańca derwiszów.

Zdarzało się, że prorocy izraelscy głosili swoje wyroczynie przy dźwiękach muzyki. Samuel oznajmił Saulowi: „napotkasz gromadę proroków zstępujących z wyżyny. Będą mieli ze sobą harfy, flety, bębny i cytry, a sami będą w prorockim uniesieniu” (1Sm 10,5). Muzyka bowiem pomagała w stworzeniu klimatu otwarcia się na działanie Ducha Bożego. Czy muzyka będzie wybrzmiewać w niebiosach? Ewangelista Jan jest przekonany, że tak: „I usłyszałem z nieba jakby głos mnogich wód i jakby głos wielkiego gromu. A głos, który usłyszałem, brzmiał, jak gdyby harfiarze uderzali w swe harfy. I śpiewają jakby pieśń nową przed tronem” (Ap 14,2-3). Nie można chyba sobie wyobrazić niebiańskiej uczty bez muzyki, jakkolwiek by ją rozumieć.

Podwójna misja

POWOLANIE. Od najmłodszych lat chciał być medykiem. Dziś rzeczywiście leczy ciało, ale oprócz tego przygotowuje się, by pomagać potrzebującym duchowego wsparcia. **Brat Marcin Jelinek jest jedynym lekarzem wśród franciszkanów konwentualnych.**



Brat Marcin dba o zdrowie wszystkich kleryków krakowskiego seminarium franciszkanów konwentualnych

O czym marzą chłopcy, gdy są w wieku przedszkolno-szkolnym? Jedni chcą być strażakami, inni łapać złodziei, a jeszcze inni budować mosty czy domy. Zwykle dziecięce plany zmieniają się bardzo dynamicznie, ale niektórzy są im wierni również w dorosłości.

Być lekarzem ciała

– Właściwie to lekarzem chciałem zostać odkąd pamiętam – mówi br. Marcin Jelinek, kleryk seminarium franciszkanów konwentualnych w Krakowie. – Na początku marzyłem, by zajmować się zwierzętami. Może to dlatego, że mój tato jest leśnikiem i często opowiadał mi o różnych leśnych stworzeniach. Marcin każde wakacje spędzał na mazurskiej wsi, u dziadków, gdzie miał nieograniczony kontakt z naturą. – Co prawda jako chłopiec nie kroiliśmy nigdy żab czy robaków, ale oglądałem je z zewnątrz, to mi wystarczyło – wspomina z uśmiechem. Największym doświadczeniem paramedycznym był... ubój zwierząt. – Pamiętam, jak dziadek kroił cielaki czy świnię. Mama nie pozwalała mi na to patrzeć, ale ja wiedziałem, że dzieje się coś ciekawego. Udało mi się uciec i podglądać obrabianie mięsa – opowiada br. Marcin. – Wtedy też miałem pierwszy kontakt z narzędziami zwierzęcymi. Sprawdzałem, z czego są

zbudowane, jak wyglądają w środku. Może to się wydawać obrzydliwe, ale mnie fascynowało. Wraz z wiekiem zainteresowania przenosiły się w coraz większym stopniu na człowieka. Co miało na to wpływ? – Z wręcz chorobliwą ciekawością oglądałem bajeczki „Było sobie życie”. Chłonałem je całym swoim ciałem. Krwinki, które nosiły pecherzyki tlenu, walka z wirusami czy procesy zachodzące w mózgu – to było coś niesamowitego – opowiada.

Szkoła średnia to rozwijanie zainteresowań. VII Liceum Ogólnokształcące we Wrocławiu znane było m.in. z tego, że doskonale przygotowywało swoich uczniów na studia medyczne. Dziecięce marzenie zaczęło się jednak w pełni realizować dopiero na wrocławskiej Akademii Medycznej. – Gdy widziałem bijące serce czy czułem ciepło krwi płynącej w rurkach sztucznego płuco-serca, myślałem o tym, że dzięki lekarzom ludzie chorzy mają szansę na „nowe życie”. Wtedy postanowiłem, że chcę być chirurgiem – opowiada br. Marcin. Jak zaznacza, niesamowite podczas studiów było też to, że mógł się dowiedzieć, jak funkcjonuje organizm człowieka, zarówno na zewnątrz, jak i wewnątrz. – Zastanawiałem się wtedy, kto wymyślił tak skomplikowaną konstrukcję, taką układankę, która w najdrobniejszych szczegółach pasuje do siebie.

Być lekarzem dusz

Każdy swoje powołanie życiowe odkrywa w inny sposób. Tak jest również z powołaniem kapłańskim. – Nigdy nie poczułem jakiegoś wewnętrznego głosu, przynajmniej tak mi się wydaje – mówi br. Marcin. Jego droga do zakonu jest jednak od samego początku naznaczona czarnym habitem. Od 4. roku życia mieszkał na terenie parafii św. Karola Boromeusza we Wrocławiu. A tutaj wiernym posługują właśnie franciszkanie konwentualni. – Gdy zobaczyłem kiedyś księdza diecezjalnego, to zdziwiłem się, że nie ma białego sznura i kaptura, a w zamian wiele guzików u sutanny i... obrożę na szyi – wspomina.

Przełomowym okresem w życiu duchowym była szkoła średnia. Wtedy rozpoczęło się piesze pielgrzymowanie: najpierw do Trzebnicy, do św. Jadwigi, a potem do Częstochowy na Jasną Górę. Już podczas studiów Marcin zaangażował się w działalność franciszkańskiego duszpasterstwa akademickiego „Porcjunkula” działającego przy klasztorze. Były wspólne wyjazdy turystyczne, ale też formacja. Wielkie znaczenie miał dla niego udział w Europejskich Spotkaniach Młodych, organizowanych przez braci z Taizé, czy w Światowych Dniach Młodzieży. – W zasadzie w całym moim dotychczasowym życiu nie było myśli o powołaniu kapłańskim czy zakonnym. Pierwsza przyszła dopiero 2 czerwca 2007 r. między 14.30 a 14.45 w Krakowie. Byliśmy tutaj wraz z duszpasterstwem na święceniach prezbiteratu franciszkanów, których znaleźmy z Wrocławia – opowiada br. Marcin. – Odbyło się wtedy takie krótkie spotkanie, podczas którego zadano nam pytanie, kim będziemy w przyszłości. Kolejka doszła do mnie i powiedziałem, że jestem powołany do kapłaństwa i medycyny, ale wybrałem medycynę. Dalej wypowiadały się kolejne osoby, a ja się zacząłem zastanawiać, dlaczego wspominałem o kapłaństwie.

Do tego momentu jedynym marzeniem Marcina była chęć zostania lekarzem. W tym momencie nastąpił jednak zwrot. – Po miesiącu nie mogłem już o niczym innym myśleć. Ostateczną decyzję podjąłem na początku sierpnia – mówi. Dalej sprawy potoczyły się dość szybko. Zanim Marcin znalazł się w postulacie, dzięki zgodzie władz

zakonnych ukończył staż i zdał Lekarski Egzamin Państwowy. Z pełnymi uprawnieniami medycznymi dołączył do braci postulantów. Dzięki temu nie stracił 6 lat studiów i może dziś służyć swoimi umiejętnościami i wykształceniem. Jeszcze przed złożeniem prośby o przyjęcie do zakonu przyszły brat miał rozmowę z przełożonymi dotyczącą jego drogi medycznej. Franciszkanie zgodzili się na kontynuację praktyki lekarskiej i obiecali pomoc. – Jestem ewenementem z racji tego, że nie jesteśmy zakonem szpitalnym jak bonifratrzy czy kamilianie; nie ma u nas poza mną ani jednego lekarza. Dzięki otwartości franciszkanów będę mógł pomagać ludziom pod względem duchowym i cielesnym – cieszy się br. Marcin.

Badacz relikwii

W momencie rozpoczęcia formacji dwie pasje br. Marcina musiały znaleźć wspólną drogę realizacji. Stał się on lekarzem dla całej jego nowej rodziny zakonnej. Swoją pracę kontynuował również w szpitalach w Prudniku i u bonifratrów w Krakowie. – To było coś, czego mi brakowało na początku mojej bytności w zakonie. Brakowało mi ludzi chorych, którym mógłbym pomóc jednocześnie rozmową i leczeniem dolegliwości – tłumaczy.

Na pewno niezwykłym doświadczeniem dla młodego zakonnika i lekarza był udział w komisji rekonicyjnej. Czym ona się zajmuje? Jej zadaniem jest otwieranie i badanie zawartości relikwiarzy. Członkami komisji są kapłani, świadkowie i lekarz. – Zostałem zaproszony jako medyk. Moim zadaniem było opisanie relikwii bł. Salomei, pierwszej polskiej klaryski – opowiada br. M. Jelinek. Oprócz oczyszczenia i opisanie stanu kości młody lekarz poszukiwał oznak ewentualnych chorób oraz pobrał małe fragmenty do relikwiarzy, które zostały przekazane do różnych świątyń na całym świecie. – Na zakończenie badania tworzony jest protokół z przebiegu rekonicyjnej.



Witraż z wizerunkiem bł. Salomei w bazylice św. Franciszka z Asyżu w Krakowie zaprojektował Stanisław Wyspiański

Nie wiedziałem do końca, jak on ma wyglądać, więc przyłożyłem się do pracy i zrobiłem bardzo dokładny opis medyczny – mówi br. Marcin. Praca przy relikwii bł. Salomei zawocowała kolejnym zaproszeniem, tym razem do zbadania szczątków św. Floriana. – Tutaj było mniej roboty. Miałem do opisanie tylko jedną kość, ale do pracy przyłożyłem się podobnie jak poprzednio. Duże wrażenie wywarło na mnie tak niecodzienne obcowanie ze świętymi – dodaje.

Jaka jest przyszłość dla lekarza w zakonie franciszkanów? Brat Marcin zwraca uwagę, że dróg jest bardzo wiele, a on sam jeszcze nie podjął decyzji. Do końca formacji w seminarium pozostały mu ponad 3 lata, a to wystarczający czas do rozeznania swojej dalszej drogi. Zakon ma wiele zadań dla przyszłego kapłana. – W Chęcinach prowadzimy ośrodek dla uzależnionych od narkotyków i niedaleko stamtąd w Połańcu dla alkoholików. Posługujemy tam ojcowie są zarówno kapłanami, jak i psychologami. Mam więc taką możliwość, by zrobić specjalizację z psychiatrii i pracować w tych ośrodkach – mówi. Inną możliwością jest wyjazd na misje. Tam każda pomoc medyczna się przyda. Tak jest m.in. w Boliwii i Peru, ale też w Ugandzie, gdzie funkcjonuje szpital. Istnieje jeszcze jedna droga realizacji podwójnego powołania – naukowa. Franciszkanin mógłby uczyć przyszłych kapłanów posługi w służbie zdrowia lub wśród chorych. – Mam jeszcze czas na rozeznanie i na rozmowy z przełożonymi. Ja jestem otwarty na wszystko, zwłaszcza na działanie Ducha Świętego – podsumowuje br. Marcin Jelinek.

Karol Białkowski



Relikwie bł. Salomei znajdują się w bazylice ojców franciszkanów w Krakowie



W Rzymie br. Władysław często spotyka się z Janem Pawłem II. Na zdjęciu trzyma go za rękę. Po lewej od Ojca Świętego br. Janusz i br. Wiesław



Brat Rafał w kuchni – codziennie gotuje się tu ok. 300 litrów zupy

DZIEŃ ŻYCIA KONSEKROWANEGO.

Apostołom nie dano zostać na górze Tabor, bratu Wincentemu – owszem, przez 17 lat.

Brat Władysław potrafi przyciąć fachowo zarówno gałęzie w sadzie, jak i czuprynę kłeryka, a br. Rafał to najślawniejszy szef kuchni we Wrocławiu. **Złote ręczki i wielkie serca** – tacy są.

Dobrze mieć brata

Bracia zakonni doradzą ci w sprawach modlitwy i naprawy stołu, muzyki i doprawienia barszczu. Po latach służby promieniuje z nich szczególna mądrość – taka praktyczna i „uśmiechnięta”. A ich opowieści słuchać można bez końca.

Tyle ciebie, ile dasz

Brat Władysław Piwko u progu zakonnej drogi napisał jednocześnie dwa listy: do karmelitów i do braci Serca Jezusowego. Powiedział sobie, że pójdzie do tych, którzy pierwsi odpowiedzą. Zrobili to bracia Serca Jezusowego. Pojechał do nich do Puszczykowa 31 sierpnia 1969 r. – Od razu mi się spodobało – mówi. – Nasze zgromadzenie jest brackim, ukierunkowane na pomoc księżom diecezjalnym. Bracia są m.in. katechetami, kierowcami, organistami, wykonują prace biurowe. Ja sam pracowałem w Poznaniu w archiwum archidiecezjalnym, w katedrze warszawskiej jako zakrystian, w gnieźnieńskiej kurii. Byłem ekonomem generalnym zgromadzenia, budowałem klasztor w Puszczykowie. Szczególnie dobrze wspominam 11 lat pracy w Rzymie, za czasów Jana Pawła II.

Pośród różnych zajęć w Rzymie brat Piwko grał na organach (przedtem w Poznaniu skończył szkołę muzyczną), a także strzygł księży studentów czy biskupów przybywających na audiencję do Ojca Świętego – bo jako syn fryzjera nabył i takich umiejętności. Obecnie wspiera w pracy ks. Tomasza Zająca, dyrektora administracyjnego wrocławskiego seminarium; jak trzeba zajmuje się zaopatrzeniem, bywa kierownicą. Czasem pogra trochę, czasem kogoś ostrzyże. Dzięki niemu kłerycy chrupać mogą smaczne jabłka. – Jeszcze w Puszczykowie nauczyłem się opiekować drzewami owocowymi i teraz wykorzystuję to w seminarijnym sadzie w Brzeziej Łące – mówi. – Akurat teraz mam najwięcej pracy. Do marca trzeba przyciąć gałązki, żeby drzewa lepiej owocowały.

We Wrocławiu pracuje trzech braci Serca Jezusowego: prócz br.

Władysława, przełożonego, także br. Janusz – pracujący na furcie w kurii i br. Wiesław – na furcie w seminarium (w wolnym czasie robi wspaniałe meble!). – Trzeba być gotowym iść tam, gdzie poślą. Iść z radością. Mój tata mówił: „Przyłożyłeś rękę do pług, nie oglądaj się wstecz” – mówi br. Władysław. I dodaje: – Tyle ciebie jest, ile dasz drugiemu.

Gospodarz Góry Przemienienia

– Zawsze podobał mi się brązowy kolor, już jako chłopak kręciłem nosem, jeśli ubranie nie było brązowe – mówi br. Wincenty Grzyśka z Zakonu Braci Mniejszych, pochodzący z Rudy Śląskiej. Decyzji o wstąpieniu do noszących brązowe habity franciszkanów nie podjął jednak od razu. Owszem, znał ich od dziecka, choćby dzięki wujkowi należącemu do tego zakonu. Ale najpierw była wojna, potem w domu praca na roli... Zdecydował się wreszcie w 1949 r., podczas misji głoszonych w sąsiedniej parafii właśnie przez franciszkanów. Marzył o wyjeździe na misje, do Afryki, czekał go jednak długie lata pracy we franciszkańskiej Kurii Generalnej w Rzymie. Ostatecznie w 1989 r. wyjechał do Ziemi Świętej na górę Tabor. Najpierw pracował jako zakrystian. Z czasem powierzono mu funkcję tzw. dyskreta, a następnie gwardiana, czyli przełożonego. Święty Piotr chciał kiedyś na Taborze stawiać namioty. Bratu Wincentemu to się udało – postawił tu rodzaj namiotów, zadaszonych miejsc, gdzie tłumnie przybywający na Jubileusz Roku 2000 pielgrzymi mogli uczestniczyć w Mszach św.; jako dobry gospodarz przeprowadził liczne remonty. Urodzonemu rolnikowi niestraszne były prace ogrodowe, troska o oliwki czy mandarynki.

– Jako gwardian br. Wincenty odpowiedzialny był za wszystko, nie tylko za sprawy materialne, ale i duchowe – tłumaczy br. Rafał, jego współbrat z klasztoru przy ul. Kasprowicza we Wrocławiu. – Ojcowie i bracia tworzą w naszym zakonie jedną wspólnotę, jedni i drudzy pełnią

odpowiedzialne funkcje. Bardzo ceniemy doświadczenie i życiową mądrość br. Wincentego. Młodzi seminarzyści nieraz przychodzą z nim porozmawiać, popytać o życie zakonne.

Brat Wincenty od zawsze wszystko umie naprawić. I bardzo lubi pracę w drewnie. We Wrocławiu wynalazł sposób, jak odświeżyć podest pod ołtarzem czy zadbać o parkiet w chórze. Razem z br. Rafałem przeprowadzili renowację zabytkowych mebli w zakrystii.

Stróże ogniska

Brat Rafał Gorzołka pochodzi z Borków Wielkich, gdzie znajduje się nowicjat franciszkanów. – Od I Komunii Świętej angażowałem się w życie parafii; zawodu piekarza uczyłem się praktycznie naprzeciw klasztoru – mówi. – Podczas młodzieżowych wyjazdów do Zakopanego za imponowali mi albertyni. Ostatecznie wstąpiłem do franciszkanów, ale Pan Bóg tak pokierował moją drogą, że od kilku lat na co dzień służę ubogim jak albertyni. – Do Wrocławia trafiłem w 1997 r. Gotować nauczyła mnie powódź – ponieważ panie, które pracowały w kuchni, nie mogły tu wtedy dotrzeć. Potem ukończyłem szkołę gastronomiczną, zdobyłem tytuł mistrza. Z czasem zostałem dyrektorem kuchni charytatywnej przy naszym klasztorze, ukończyłem też studia dla pracowników społecznych.

Do br. Rafała potrzebujący ludzie przychodzą nie tylko po posiłek. Wysłuchuje ich, mobilizuje do wyjścia z bezradności. Razem z członkami wspólnoty „Droga” spotyka się z nimi na wspólnym oglądaniu filmów, dyskusjach przy kawie. Bierze udział m.in. w prowadzeniu kursów zawodowych dla ubogich, np. na pomoc kuchenną, pomaga im w zdobyciu pracy. – W zeszłym roku spośród 30 osób, które tu były szkolone, 22 znalazły w okresie wakacyjnym pracę. Próbuje przekazać im to, czego uczył mnie mój mistrz w piekarni: szacunku dla chleba – mówi. – Staram się angażować ich przy obieraniu warzyw czy wydawaniu pieczywa. Jeden z chłopców,

kiedyś korzystający u nas z posiłków, teraz sam jest pracownikiem kuchni.

Dzięki służbie ubogim br. Rafał wyspecjalizował się zwłaszcza w zupach – gęstych, solidnych, z mięsną wkładką. Gdy ma czas, lubi eksperymenty kulinarne. Wydał własną książkę z przepisami; lubi też pracę w ogrodzie i majsterkowanie z br. Wincentem. Przez dwa lata był odpowiedzialny za świetlicę środowiskową „Tobiaszki”. Jest członkiem zarządu prowincji.

Przy ul. Kasprowicza pracuje większa ekipa braci. Jest jeszcze br. Daniel – organista i wychowawca we franciszkańskim seminarium, br. Jerzy – furcian, br. Emilian – zakrystian. – Posługa brata zakonnego we wspólnocie to posługa Marty, tej, która dba o ognisko rodzinne, o więzi – mówią Wincenty i Rafał, bracia i przyjaciele.

Agata CombiK

Nie tylko zupa

Kuchnia charytatywna przy ul. Kasprowicza istnieje od 1992 r. Działa od poniedziałku do soboty od 11.30 do wydania ostatniego posiłku. Codziennie wydaje się tu ok. 450 porcji zupy, a do niej ciepły napój, pieczywo oraz słodkie bułki; raz w miesiącu wydawane są paczki w ramach Programu Pomocy Żywnościowej. Co roku na wigilii gromadzi się ok. 500 osób. Przy kuchni wydawana jest odzież, prowadzone jest poradnictwo rodzinne, konsultacje z zakresu pomocy społecznej. Można tu zyskać pomoc w zdobyciu kwalifikacji – we współpracy z MOPS-em prowadzone są kursy zawodowe. Dzięki wolontariuszom ze wspólnoty postakademickiej „Droga” podopieczni kuchni zapraszani są na spotkania Dyskusyjnego Klubu Filmowego. Franciszkańskie dzieło można wesprzeć, ofiarowując np. żywność czy odzież.



Brat Wincenty Grzyśka – najstarszy franciszkanin wrocławskiej prowincji Zakonu Braci Mniejszych

Walka z demonami

WYKROCZENIA

NAJCZĘŚCIEJ POPEŁNIANE PRZEZ DOLNOŚLĄSKICH KIEROWCÓW.

Brak uprzejmości, arogancja i agresja oraz alkohol – to tylko **niektóre z siedmiu grzechów głównych, jakie popełniają prowadzący pojazdy.** Specjalnie dla nas zestawienie przygotowała podinspektor Marzena Graczyk z Wydziału Ruchu Drogowego Komendy Wojewódzkiej Policji we Wrocławiu.



– Rocznie w samym Wrocławiu zatrzymujemy 1,2 tys. kierowców za jazdę pod wpływem alkoholu – mówi podinsp. Marzena Graczyk

Jak podkreśla moralista ksiądz Marian Biskup, wykroczenia na naszych drogach są poważnymi grzechami, które ujawniają egoizm kierowców. Warto więc, pod kierunkiem pani podinspektor, przeprowadzić swoisty rachunek sumienia.

Pierwsze: nadmierna prędkość

To chyba największy demon, z którym staramy się walczyć. Przepis mówi, że powinna być dostosowana do warunków panujących na drodze, czyli natężenia ruchu, warunków atmosferycznych, wreszcie samopoczucia kierującego pojazdem. Tylko od kierowcy zależy, z jaką szybkością będzie się poruszał, zatem przekroczenie tej, którą dopuszczają przepisy, jest działaniem świadomym i dobrowolnym. Niestety, jesteśmy świadkami częstego lekceważenia przepisów w tym zakresie, a prędkości rozwijane przez niektórych kierowców na dolnośląskim odcinku autostrady są tak duże, że policja, by dokonać zatrzymania, musi prosić o pomoc kierowców tirów, by blokując przejazd, spowolnili pirata. Tymczasem zderzenie z prędkością 40 km/h można porównać z upadkiem samochodu z drugiego piętra, 60 km/h – z piątego piętra, 100 km/h – z czternastego, natomiast 180 km/h to upadek z ponad 130 metrów – to jest mniej więcej z połowy wrocławskiego Sky Tower. Można sobie jedynie wyobrazić, co zostanie z pojazdu i co zostanie z człowieka w przypadku takiego zdarzenia drogowego.

Drugie: alkohol i narkotyki

Każdego dnia policjanci w całej Polsce eliminują z drogi 490 kierowców, a zatem 19 osób w ciągu godziny traci prawo jazdy. W województwie dolnośląskim rocznie ok. 10 tys., a w samym Wrocławiu 1,2 tys. kierujących jest zatrzymywanych za jazdę „pod wpływem”. Do tego należy doliczyć tzw. ciemną liczbę osób, którym udało się przejechać po wypiciu kilku głębszych. Wyznają taką zasadę: jeśli piłeś – nie jedź. Spalanie alkoholu w organizmie jest sprawą indywidualną,

można mieć gorszy dzień, być niewyspanym, brać leki, które wchodzi w reakcję z alkoholem. Problemem jest to, że na prowadzenie po alkoholu istnieje bardzo duże przyzwolenie społeczne. Całkiem niedawno policja we Wrocławiu zatrzymała nietrzeźwego młodego człowieka, obok którego siedziała jego mama. Ten, kto wsiada za kierownicę po alkoholu, jest potencjalnym zabójcą, a ci, którzy mu na to pozwalają, są współodpowiedzialni – czyli odpowiadają moralnie za to, co może on uczynić na drodze. Coraz częściej także zatrzymujemy kierowców, którzy za kierownicę wsiadają po zażyciu narkotyków. I tutaj, oczywiście, nie ma żadnej tolerancji.

Trzecie: niezapięte pasy

W ciągu roku na terenie naszego województwa ujawniamy 23 tys. przypadków niestosowania się do obowiązku zapinania pasów przez kierowców i pasażerów. Do tego dochodzi oczywiście „ciemna liczba”. Czasem wydaje nam się, że fakt, iż przejeżdżamy krótki odcinek drogi, zwalnia nas z tego obowiązku. Warto też, aby kierowca pamiętał o tym, że nie powinien

ruszyć, jeśli wszyscy w pojeździe nie zapną pasów bezpieczeństwa. Plagą jest niezapięcie pasów w autokarach. Powszechnym zjawiskiem jest, że zatrzymujemy autokar i jedną osobą, która zapięła pasy, jest kierowca. Przy zapiętych pasach ryzyko śmierci za kierownicą zmniejsza się o 50 proc. Przy zderzeniu z prędkością 50 km/h zaczynają działać takie przeciążenia, że ciało człowieka jest wyrzucane z siłą 3,5 tony. W to wpisuje się także przewożenie dzieci w odpowiednich fotelikach. Kiedyś zrobiliśmy eksperyment na symulatorze zderzeń, który był rozpędzony do prędkości 20 km/h. Siedział w nim pasażer, trzymający na kolanach arbuz. W momencie zderzenia nikomu nie udało się go utrzymać.

Czwarte: brak uprzejmości wobec pieszych

Truizmem jest stwierdzenie, że szanse na przeżycie pieszego w zderzeniu z pojazdem są minimalne. Wśród tej grupy użytkowników ruchu drogowego wyróżniłabym dzieci i osoby starsze. Trzeba mieć świadomość, że ci ludzie inaczej oceniają sytuację na drodze, mogą gorzej

słyszeć, mieć problem z oceną odległości i prędkości, z jaką dany pojazd się zbliża. Paradoksalnie najwięcej potrażeń zdarza się w miejscach, w których pieszy powinien czuć się bezpiecznie: na przejściach, chodnikach, przystankach, wysepkach oddzielających jezdnie. Niedopuszczalne jest także ochlapywanie pieszych, co w przypadku deszczowych dni zdarza się niestety bardzo często. W takim przypadku osoba poszkodowana może zanotować numer rejestracyjny pojazdu i zgłosić się do najbliższej jednostki policji, informując o zdarzeniu. Kierowca zostanie ukarany. W ten grzech wpisuje się także wyprzedzanie na przejściach dla pieszych oraz wymijanie pojazdu, który zatrzymał się, by pieszych przepuścić. Za te wykroczenia konto punktów karnych kierowcy może się bardzo powiększyć.

Piąte: agresja i arogancja

Ostatnio głośno było we Wrocławiu o dwóch kierowcach, którzy pobili się na skrzyżowaniu ulic Legnickiej i Wejherowskiej. Powodem było prawdopodobnie zajechanie drogi. To jest niestety zjawisko lawinowe i objawia się powolną jazdą lewym pasem ruchu, skręcaniem lub zmianą pasa bez kierunkowskazu, zajechaniem drogi przy zmianie pasa ruchu, wjeżdżaniem przed kierowców oczekujących na zmianę świateł. To powoduje frustrację i agresję. Zaczynają się wulgaryzmy, niecenzuralne gesty, pyskówka, ściganie się. Przypominam sobie, że kilka lat temu w naszym mieście jeden z kierowców został w czasie szarpaniny na drodze ugodzony nożem. W innym przypadku kierowca postanowił wymierzyć sprawiedliwość wobec dziecka, które wybiegło za piłką na ulicę, i pobił je. Dla dziecka skończyło się to złamaną nogą. Przykre jest, że często dorośli zachowują się w sposób agresywny i arogancki w obecności dzieci, które przewożą w samochodzie. Trudno się dziwić, że i one, kiedy dorosną, również nie będą respektować norm i zasad.

Szóste: nieprawidłowe wyprzedzanie

Mam tutaj na myśli przede wszystkim tzw. wyprzedzanie na trzeciego lub na styk, przy którym

zmuszamy jadących z naprzeciwka do hamowania lub zjechania z drogi. Zajmuje ono trzecie miejsce na liście przyczyn wypadków na naszym terenie. Niestety, zdarzenie drogowe powstałe wskutek wyprzedzania rzadko jest delikatną kolizją. Tutaj najczęściej mamy do czynienia z poważnymi wypadkami ze skutkiem śmiertelnym.

Siódme: złe parkowanie

Pomysły na pozostawianie swoich aut nasi kierujący mają naprawdę różne, ale to, na co najbardziej narzekają inni użytkownicy dróg, to zastawianie bram wjazdowych, dróg dojazdowych do budynków lub prywatnych posesji. Dużą plagą są kierowcy parkujący niemal na samym skrzyżowaniu, utrudniając widoczność wyjeżdżającym zwłaszcza z dróg podporządkowanych. Już nie mówię o sytuacjach, kiedy straż pożarna nie może dojechać do pożaru lub karetka do chorego, czy o parkowaniu na miejscach przeznaczonych dla inwalidów. Poważnym problemem są także kierowcy zajmujący dwa miejsca parkingowe lub tacy, którzy ustawiają swój pojazd tak blisko drugiego, że jego właściciel nie ma możliwości normalnego otwarcia drzwi.

Uszanuj mandat



KS. DR MARIAN BISKUP
WYKŁADOWCA TEOLOGII
MORALNEJ NA PWT
WE WROCŁAWIU
– Celem, dla którego
istnieje kodeks

ruchu drogowego, jest bezpieczeństwo, czyli dobro wszystkich użytkowników drogi. To już rodzi powinność zachowania zawartych w nim przepisów. Ich przekraczanie jest złem, a posługując się językiem teologicznym, mamy do czynienia z grzechem. Najczęściej zwraca się uwagę na to, że łamanie zasad ruchu drogowego jest naruszeniem przykazania „Nie zabijaj”. Przekraczanie dozwolonej prędkości, prowadzenie pojazdu pod wpływem alkoholu lub narkotyków, narażanie życia swojego i innych osób jest w kolizji z piątym przykazaniem Dekalogu. Są to poważne grzechy. Trzeba jednak zwrócić uwagę, że wykroczenia drogowe są często wyrazem braku miłości bliźniego osoby kierującej, która stawia siebie nie tyle ponad przepisami, co ponad innymi ludźmi. To typowy egoizm i relatywizacja norm, co tutaj przyjmuje formę: sam dla siebie jestem autorytetem i ja ustalam zasady obowiązujące na drodze. Przecież ci, którzy podejmują decyzje w imieniu całego społeczeństwa o przyznaniu danemu człowiekowi prawa jazdy, obdarzają go mandatem zaufania. Lepiej zatem uszanować ten mandat, niż mandat zapłacić.



Przekraczanie prędkości to standard na dolnośląskich drogach